

Nasza Chata

Dodatek do „Nowego Dzwonka“

wychodzi w Krakowie dwa razy w miesiącu — dnia 1-go i 15-go.

Złote myśli.

Radzi chcemy widzieć drugich doskonałymi, a nie staramy się poprawić własnych naszych błędów.

Prawda jest w sercach poczciwych.

Lepsze jest mądre słowo, co przygania, niż mowy głupców, co schlebiają wiele.

Brzydka i szkodliwa wada.

Chcemy dziś skreślić słów kilka o wielkiej wadzie, głęboko zakorzenionej wśród ludności i niczem nie pohamowanej żądzy posiadania bogactwa i pieniędzy.

Pieniądz w obecnych czasach i żądza posiadania jak najwięcej ziemi zajmuje miejsce najpierwsze; on stanowi całe szczęście i nieraz więcej ceniony nad Boga i prawo Jego, słowem tłumiący wszystkie obowiązki względem Boga i społeczeństwa.

Chciwość zamyka serce na wszystko, na potrzeby kościoła, kraju, rodziny, na nędzę bliźnich, bo serce chciwca twardsze od granitu.

Iluz to jest u nas bogatych gospodarzy, mających po kilkanaście i kilkadziesiąt morgi ziemi, a niczem nie dających się namówić na prenumerowanie gazety, pomimo słów woła pozostać ciemnymi. Dzieci takich chciwców są traktowane niżej od zwierząt, nie odbiorą one należytego wychowania, bo pracą od najmłodszych lat są obciążone.

Gdy zawita piękne lato, zaczyna się praca dzieci od świtu do nocy na polu. Przy-

patrzeć się tym dzieciom, to żal ściska, jakie to wielkie zaniedbanie: ani opieki, swawola, złe zabawy i nic dziwnego, że z takich zaniedbanych dzieci wyrosną ludzie gburowaci, ciemni, choć nieraz i zamożni, lecz głowa pusta, zatarte uczucia ludzkie.

Smieszna ta młodzież dzisiejsza, ubierająca się modnie nad stan, posiadająca często i majątek, a nie mająca żadnego wychowania, żadnej nauki. Czyż nie lepiej, aby córki i synowie bogatych gospodarzy dostały odpowiednią naukę; synowie powinni umieć czytać, pisać, rachować, a córki to wszystko, co wchodzi w zakres gospodyni dobrej. Lecz na to szkoda pieniędzy, lepiej się ubierać drogo i modnie.

Coraz więcej dziś po wsiach starych kawalerów i panien, a powodem tego jest chciwość: jeden od drugiego chce się ożenić bogaciej, mniejsza o to, czy wady, czy cnota zdobi, aby tylko bogata.

Chciwość owa jest prawie że tyraństwem względem choroby w domu. Gdy zachoruje kto z rodziny, żona, lub dziecię, niema ratunku żadnego i tak czekają ostatniej chwili. Jakaż to straszna miłość takich rodziców, żałują pieniędzy na ratowanie dziecka, a kiedy walczy ze śmiercią, wtedy razem i doktora i kapłana. Czy wtedy może doktor pomódz? Skąpstwo zamyka się na cierpienia blizkich chorych, odmawiają ratunku, mówiąc, że doktor nic nie pomoże, bo jak ma żyć, to i tak będzie.

Jakaż to jest ciemnota i skąpstwo!!

Na wszystkich zabawach, weselach i t. d. przedmiotem rozmowy tylko pieniądz: jak się procesować, aby coraz to więcej posiadać i nie dać nikomu nic, na żadne miłosierne uczynki, ani dobro społeczne.

Chwalebna jest oszczędność i dorabianie się majątku, lecz niech wszystko ma granice, nie przekraczające świętych obowiązków, pamiętajmy na to, że żyjemy nie tylko dla ciała, ale dla duszy potrzeba nam oświaty, bo ta wskaże nam drogę ku temu, co dobre i godne Polaka-katolika.

Za matulą.

Stary Matus saniami zaprzężonemi w parę wołów zajechał przed chatę na pustkowiu.

Od czasu śmierci kowala, który pozostawił po sobie wdowę i dwoje sierot, nikt prawie nie zaglądał do tej chaty.

I nic dziwnego, — oddaloną ona była od wsi o parę kilometrów i ludzie, przeniósłszy się z robotą do innego kowala, zapomnieli o chacie na pustkowiu i o jej mieszkańcach.

»Kowalicha« przeto musiała pamiętać o sobie i o swoich dzieciach i aby je wyżywić w lecie trudniła się wyrobkiem i robocizną w polu, a w zimie żebraniną, chaty zaś na pustkowiu nie porzucała, bo nawykła do niej, a zresztą i podziaćby się z dwojgiem dzieci gdzieindziej nie miała.

Tak wlokła swój ciężki żywot lat parę o smrodzie i głodzie, aż wreszcie wycieńczona nadmierną pracą zapadła ciężko i zmarła.

Ludzie ze wsi dowiedzieli się wnet, że »kowalisze się zmarło« i kilka kobiet, pomimo mroźnej grudniowej pory przywlekło się, aby oddać ostatnią usługę i zaopiekować się sierotkami.

Przyjechał też i stary Matus, który powodowany jedynie miłością chrześcijańską, zajmował się eksportacją zwłok biedaków z całej parafii.

Siwe włosy Matusa i wóz drabiniasty, albo sanie, znane były wszystkim wybornie.

Gdy Matus zajechał, kobiety zebrane w izbie wybiegły przed chatę.

— Niech będzie pochwalony!... — pozdroził je Matus, uchylając czapki.

— Na wieki wieków... — odparły chórem kobiety.

— A jest tam który chłop w izbie? — zapytał Matus, zasiadając z sani.

— Bogać tam jest, otoć teraz młocka przedświąteczna.

— No to wy baby pomóżta mi przenieść na sanie nieboszczkę.

— O wal... — zaprotestowały kobiety, — przyjechał po nią, to ją bierzta.

Mimo to wszakże, gdy Matus wszedł do izby i przeżegnawszy się przed stojącą na ziemi pośrodku izby trumną, przykrytą już wiekiem, zabrał się do jej wynoszenia, wszystkie kobiety ofiarowały się z pomocą.

Połączonemi siłami umieszczono wreszcie trumnę na saniach.

Matus miał już ruszyć, gdy przypomniał sobie o dzieciach nieboszczki, zapytał:

— A dzieciaki?...

— Zabierzewa je do wsi, ja wezmę dziewuchę a chłopca przyhołubi Jędrzejowa.

— Ta nie to... — machnął ręką Matus, — przecie to ich matula, to trza, żeby szły do grobu... — zauważył.

— Kaj tam do grobu... taki ziąb, Pietrek z gołemi nogami, zmarznię...

— Toć pewnikiem w chacie są jakie stare buciska, — zauważył Matus i wrócił do chaty.

Pod piecem siedziało dwoje zalęknionych widocznie dzieci: pięcioletni chłopczyk Pietrek i ośmioletnia Jagusia.

— Pietrek, pójdiesz za matulą? — zapytał dobrotliwie Matus.

Pietrek otworzył szeroko oczy i jeszcze szerzej usta i nic nie odpowiedział.

— Pójdiesz?... — powtórzył Matus zapytanie.

— A no! — odparł, kiwnąwszy głową Pietrek.

— A macie tu jakie buciska? — zwrócił się stary do dziewczyny.

— Matuline stare — wyjąkała dziewczyna.

— Toć duże, a twoje, Jagus?

— A są — odparła Jagusia, podnosząc nogę do góry i pokazując względnie do jej nogi i wzrostu dość duże buty.

— To obuj ty matuline, a Pietrek twoje, — doradził Matus.

Dzieci usłuchały i Pietrek wciągnąwszy na nogi zapewne po raz pierwszy w życiu ogromne buty, spojrział na nie z widocznym zadowoleniem i rozśmiał się głośno.

— Pietrek, cichaj... matuś zmarła — zmoitowała go Jagusia, pojmująca już cokolwiek wielkość straty i uroczystość chwili.

Śmiesznie zaiste wyglądały dzieci w ogromnych butach, które tamowały swobodę ich ruchów.

Kobiety stojące przed chatą, pomimo poważnego nastroju chwili, nie mogły się na ich widok powstrzymać od śmiechu.

Tymczasem sieroty stanęły przy saniach, oczekując aż kondukt ruszy.

Kobiety naradziły się pomiędzy sobą: iść, czy nie iść na cmentarz!

— A toć pół mili drogi, a niedługuśko wieczór, ja dla mego muszę zgotować wieczerę.

— I ja także...

— Imy także... — odezwały się inne i zdecydowały, że obejdzie się i bez nich.

Zresztą i tak już wiele uczyniły, że obiecały wziąć do siebie sieroty, — »kowalichyżebaczki«.

Gdy przeto kondukt ruszył, zawróciły wszystkie do wsi i tylko Jędrzejowa zawołała:

— A pamiętajcie Matusie o sierotekach i przywieźta je cało i zdrowo do wsi.

Matus machnął ręką i nie odpowiedział nic, a tylko nachmurzył się i pognał woły.

Sanie zaskrzypiały po skorupie śnieżnej.

Dzieci szły, potykając się co chwila.

Ogromne buty z początku wielce bawiły Pietrka, rozbijał nimi z zadowoleniem skorupę śnieżną i podrzucał śnieg do góry.

Jagusia szła w milczeniu, kiedy niekiedy ciężko wzdychając.

Droga szła przez pole. Matus brnął po śniegu, napędzając woły, i spoglądał niekiedy z pewnem zaniepokojeniem do góry.

Niebo zaciągnęło się szaremi chmurami.

Płatki śniegu zaczęły się ukazywać w powietrzu; zerwał się wiatr zachodni.

— Żle! — mruknął Matus, — może być wichura...

Obawy jego były uzasadnione: silny wiatr napędzał coraz nowe chmury, śnieg coraz gęściej zaczął padać; można spodziewać się zadyмки.

Była zaledwie trzecia godzina, a zaczynało się szybko ściemniać.

Ujechali dopiero połowę drogi.

Pietrek w swoich ogromnych butach zmęczył się bardzo i płakał, nie mogąc zdążyć za saniami.

Jaguś, jakkolwiek również zmęczona, zdawała się na to nie zważać i szła wytrwale.

Pietrek wreszcie ustał zupełnie i potknąwszy się upadł twarzą w śnieg i rozplakał się głośno.

Matus podjął go i aby uspokoić, posadził na sanie tuż przy trumnie, a wyjąwszy z zanadrza spory kawałek chleba, rozłamał go na dwie części i dał jedną Pietrkowi, a drugą Jagusi.

Pietrek z chciwością zaczął gryźć na wpeł zmarnięty chleb i uspokoił się zupełnie.

O drana nic w ustach nie miał.

Jagusia swój chleb zawinęła we fartuch i szła dalej.

Sanie posuwały się coraz wolniej; woły stawały w zaspach śnieżnych, które tworzyły się na drodze w jednej chwili.

A śnieg padał coraz większy...

Sanie, trumna, Pietrek obok niej siedzący, wszystko to pokryło się białym całunem.

Wieczór szybko zapadł, drogi nie można było rozpoznać, woły też musiały z niej zbożyć, gdyż uwięzły nagle w zaspie śnieżnej.

Próżne były wysiłki Matusa, aby je ruszyć z miejsca, mordował się z kwadrans, rozkopywał śnieg, oczyszczając drogę.

Była to praca syzyfowa: co oczyścił, to w jednej chwili śnieg zasypał na nowo.

Stary zatrwożył się nie na żarty.

Widząc, że sam nie da rady, zdecydował się wezwać pomocy ludzi.

Nie dalej jak o ćwierć mili na prawo, powinna była być wieś... trzeba się było do niej dostać koniecznie.

Zawahał się wszakże, gdyż szło mu o dzieci; jakże tu je same zostawić w polu?... Nie było jednak nic do wyboru, dlatego Matus zwrócił się do dziewczyny:

— Jaguś, ty zostaniesz z Pietrkiem na saniach, a ja pójdę do wsi...

— Ano, to i zostanę...

— A nie boisz się?

— Toć tu i matula...

— No to zostańta z Bogiem! — powiedział Matus i skierował się na prawo.

Dzieci patrzyły za nim dotąd, póki śnieżna zawieja nie zakryła go przed ich wzrokiem.

Smutno się zrobiło Jagusi, usiadła przy Pietrku i narzuciwszy na głowę swój z domowego płótna fartuch, siedziała cichutko.

Markotno jej było bardzo: wzięła do ręki otrzymany od Matusa chleb, ugryzła z trudem kawałek, lecz jeść nie mogła.

Pietrek, ubrany w lichą samodziałową sukmankę, zaczął narzekać na zimno.

Jaguś przytuliła go do siebie, okryła fartuchem i chustką zdjętą ze szyi.

Chłopak, rozgrzawszy się cokolwiek, uspokoił się i zaczął w objęciach Jagusi drzemać.

Ta siedziała nieruchomo czas jakiś, czuła że nogi jej wystawione na mroźny wiatr sztywnieją, nie poruszała się wszakże, aby nie zbudzić Pietrka.

A śnieg wciąż padał i padał...

Nie można było rozpoznać już ani sanii, ani wołów, ani trumny z przytulonemi do niej dziećmi...

Wszystko to tworzyło jeden śnieżny pagórek.

A Matus nie powracał...

Grobowa cisza, przerywana tylko głuchym szmerem wiatru, panowała wokoło.

— Matulu, matulu!... — dało się słyszeć pare razy żalosne wołanie Jagusi.

Potem wszystko ucichło.

Dopiero po upływie kilku godzin Matus z ludźmi zdołał dotrzeć do śnieżnego pagórka, po odgrzebaniu którego znaleziono zamiast jednego... trzy trupy.

Dzieci poszły... za matulą!...

Zwyczaje zapustne.

(Z pism Zygmunta Glogiera.)

Czas pomiędzy dwoma głównymi postami, z których jeden poprzedza Narodzenie Chrystusa, a drugi Jego Zmartwychwstanie, zowie się Zapustami, Zapustem lub Mięso-pustem, inaczej Karnawalem, a najprawdopodobniej od łacińskiego carne vale, mięso żegnał. Początek zapust stanowią koledy, jasełka, szopki, chodzenie z gwiazdką, królem Herodem, koza i wszelkiego rodzaju koledowanie, którego właściwa pora od Wigilii Bożego Narodzenia do Nowego Roku. Od dnia 1. stycznia zaczynają się właściwe zapusty, a kończą się z nadejściem Wielkiego Postu. Stąd też długość ich bywa rozmaita, bo zależy od porę, w której wypada Wielkanoc, a nadto dawniej zależała jeszcze od długości Wielkiego Postu. Wiadomo bowiem, że Kościół, ustanawiając 40 dni postu, wyłączał pierwotne soboty, niedziele, a nawet czwartki; inni wyłączały także wtorki; a stąd, aby czterdzieści dni dopełnić, zaczynało się post od dziewiątej niedzieli przed Wielkanocą, czyli mniej więcej na dni siedemdziesiąt. Niedziela powyższa, kończąca dawne zapusty, zowie się dotąd

z tego powodu starozapustną lub siedemdziesiątnicą, a Mięso-pust bywał z tej przyczyny znacznie krótszy. W obrzędach kościelnych ślad zaczynanego od tej niedzieli postu dotąd pozostał. Stosownie n. p. do zalecenia Grzegorza Wielkiego, Alleluja nie śpiewa się już po tym czasie w świątyniach. U nas w Polsce Innocenty IV. skrócił Post Wielki, pozwalając go zaczynać od środy popielcowej.

Zapusty są od wieków uprzywilejowaną porą wszelkiego rodzaju zabaw, widowisk, maszkar, uczt, zbytków i pustoty. Z nadejściem chrześcijaństwa Boże Narodzenie i Nowy Rok dały powody do wesołości religijnej, a łakomy żołądek ludzki, w przewidywaniu długiego postu, wymyślił tłuste uczy i hu-czne pohulanki na pożegnanie dni zapustnych. Zapusty rozpoczęto suto i wesoło Godami (tak bowiem w języku staropolskim zwano święta Bożego Narodzenia i ostatnie dni roku), kończono równie suto i miesno Ostatkami, które zwano także kusymi dniami, czyli kusakami. Wieczory od Bożego Narodzenia do Trzech Króli lud święcił, i w ostatni czwartek, zwany tłustym, tłusto biesiadował. Zapusty w Polsce są porą wesel, zwłaszcza u szlachty, i porą słynnych kuligów.

Po wielu domach szlacheckich w ostatni wtorek, niezadługo przed północą, najwymowniejszy z domowych lub gości i odznaczający się dowcipem, śmiesznie przebrany stawał na stołku i zaczynał przemowę »moralną«. Była to mieszanina anegdotycznych wspomnień, zdań i dyktewek, z umysłu śmiesznie powiązanych, lub związku nie mających, a często okraszonych prawdziwym staropolskim dowcipem i złotym humorem, co wywoływało w gronie słuchaczy śmiech i niezwykłą wesołość. Po takiej przemowie, która była jedną z licznych charakterystycznych zabaw klaszarnego narodu, wrzacej życiem publicznym, a która tak nie obrażała uczuć religijnych ani przyswoitości towarzyskiej, następowała wieczerza mięsna, a gdy na zegarze północ uderzyła, wnoszono śledzie, jaja i mleko, Post Wielki zaczynając.

We dworach szlachty litewskiej był zwyczaj, dotąd może zachowany u tych, którzy ściślej pielęgnują narodowe tradycje, że gdy północ nadeszła, wnoszono na stół półmisek pod przykrywą, którą podnoszono, gdy wybiła dwunasta. Wylatywał wtedy z pod przykrywy wróbel, a pozostawały na półmisku

dwa śledzie. Wróbel ten był symbolem mięsa, a śledzie potraw postnych. Cały zaś zwyczaj przedstawiał koniec dni zapustnych i początek Wielkiego Postu.

Lud wiejski, polski i ruski, na przeszerzeni między Odrą, Karpatami i Dnieprem, miał lub ma dotąd prawie jednakowy sposób kołędowania zapustnego, polegający na przebieraniu się za turów, niedźwiedzi, konia, kozę, żurawia, cyganów i t. p. i obchodzeniu chat i dworów, bądź w ostatnie dni zapustne. Kolednicy każdej wioski i miasteczka sprawiają sobie z zebranego jadła i pieniędzy wesołą biesiadę.

Zwyczaj kołędowania przechowuje w sobie pod szatą obyczajów chrześcijańskich echo tradycyi obrzędów i zwyczajów pogańskich, a lud nasz śpiewa niemało starych i bardzo pięknych pieśni kołędnych.

Mikołaj Rej, należący do pierwszej połowy XVI. wieku, wspomina już o zwyczaju chodzenia z udanym wilkiem po koledzie. Stąd nawet powstało przysłowie: »biegać by z wilczą skórą (lub z wilczęty) po koledzie«. Przysłowie to zapisał w następnym wieku Rysiński i Knapski. Wieśniacy bowiem, złapawszy młodego wilka i niedźwiedzia, a w braku żywych sami za nie przebrani, obchodzili najbliższe dwory, folwarki, karczmy i chaty. Nagradzanie młodzieży wiejskiej za schwytane wilczeta i niedźwiadki przyczyniło się do tepienia tych pospolitych wówczas a wielce szkodliwych zwierząt krajowych.

U Rusinów podlaskich po Bożem Narodzeniu zbiera się młodzież wiejska obojei płci na tak zwany »bohawy wecer«, gdzie wtenczas gospodynie pieką kołacze, pirosi, gotują miesiwo i inne potrawy. Chłopcy i dziewczęta, przebrani dziwacznie, chodząc od chaty do chaty, zbierają powtórnie kolede. Po wniściu do jakiego domostwa proszą o kolede dziewczęta, aby podarek przyspieszyć, sypią siemie lniane na ogień, które zapala się z trzaskiem. Gdy gospodarz nie da koledy, co prawie nigdy się nie zdarza, wtedy jedzą i piją to, co wpadnie im do ręki w jego domu. Obszedłszy wieś, powracają do chaty, przeznaczonej na biesiadę, tam obierają jedną z dziewczyn na gospodynię, która im z zebranych podarków przyrządza potrawy, a za otrzymane w darze pieniądze kupują piwo i wódkę. Tak wesoło uczują, tańczą, śpiewają i bawią się do północy.

Jak sobie pierwsi ludzie radzili.

Trudno było pierwszym ludziom zdobywać sobie pożywienie, ale trudniejszą jeszcze była dla nich obrona przed dzikimi zwierzętami, których w owe czasy kryło się po lasach i w trawach stokroć więcej niż obecnie. Do obrony mieli tylko ułamany z drzewa kij, lub znalezione kamień.

Rzucając kamieniem, prędko zmiarkowali ludzie, że kamienie ostro zakończone celniej uderzają i ranią silniej; takie więc zaczęli sobie wyszukiwać, a spostrzegłszy, że kamienie od silnego uderzenia rozbijają się, i przez częste uderzenie i pocieranie stają się gładkimi i cieńszymi — zaczęli kamienie rozłupywać i wyrabiać kamienne ostrza, to jest kamienie wglądzać, s z l i f o w a ć.

Potrzeba obrony od dzikich zwierząt pchnęła ludzi do robienia wynalazków, przyczyniła się do tego również i potrzeba ochrony przed zimnem.

Pierwsi rodzice i potomkowie ich nie znali ubrania, mieszkali w krajach gorących, więc nie odczuwali chłodu. Ale w miarę jak się ludzie rozmnażali, rozchodzili się po świecie, niektórym wypadło żyć w okolicach zimnych, musieli więc zdobyć dla siebie i dzieci jakieś ubranie i zbudować cieplejsze schronienie. Nęciły ich ciepłe skóry zwierzęce i chęć zdobycia takowych przyczyniła się do nowych wynalazków.

By mieć lepszą broń do napadania na zwierza, spróbowali ludzie do drzewca przywierdzać ostre kamienie, było to coś w rodzaju dzidy. Później ostrze kamienne zastępowali ostrzem z kości, kłami i rogami niektórych zwierząt.

Z czasem wpadł im do głowy pomysł robienia toporków, a to w osobliwy sposób. Ponieważ nie mieli czem przewiercić otworu, by osadzić w nim ostrze, jakże sobie radzili? Oto brali szlifowany kamień, mający wygląd toporka, wbijali go głęboko w grubą gałąź rosnącego drzewa i pozostawili go tak. Po niejakim czasie gałąź, rozrastając się i grubiejąc, zaciska mocno wetknięty weń kamień, wtedy na obu stronach kamienia, na ile trzeba było, odłamywano ją, i toporek był gotów.

Coraz łatwiej było pierwszym ludziom zwierza zabić i dostać tym sposobem tak pragnioną dla siebie puszystą ich skórę;

trzeba jednak było zaradzić temu, że skóry od słońca i powietrza prędko wysychały, robiły się twarde, pękały i zostawały na nich kawałki tłuszczu i mięsa, które, psując się, wydawały wstrętny zapach.

Otóż wpadli przodkowie nasi na myśl, by skórę, zdartą z zabitego zwierza, chropowatym kamieniem najprzód raz koło razu dobrze oskrobać. By tak oczyszczone skóry zmiękczyć, pocierali je szpikiem, mózgiem lub tłuszczem zwierzęcym, a gdy tym sposobem stawały się czyste, miękkie, nie pękające, zszywano je odpowiednio do potrzeby zapomocą cienkiej, spiczastej kości, z wyśrubowaną w niej dziurką, do której w braku nici zawlekać no żyły lub kiszki zabitych zwierząt.

Stopniowo z potrzeby ochrony przed zimnem, skwarem i dzikim zwierzem pierwsi ludzie wciąż ulepszali swoje mieszkania. Pojawiały się lepianki z chrustu, otykane mchem i gliną, z otworem u góry dla usunięcia dymu; później obijano lepianki skórą zwierzęcą, a bryły kamienne służyły jako drzwi do takich mieszkań. W miejscowościach skalistych wyciosywano sobie głębokiej jaskinie, zamieszkiwano w pieczarach.

Później dla uchronienia się od dzikich bestyi zaczęto budować sobie mieszkania pałowe czyli nawodne. Wbijano na wodzie pale i na nich dopiero budowano domek; wokoło nawożono wał z mułu i kamieni, by nie dopuścić zbyt wielkiego napływu wody. Dla przejścia na ziemię kładziono od domku do brzegu wąziutki mostek, który na noc zdejmowano, by do domku, otoczonego wodą, nie było dostępu.

Tak z dniem każdym praojcowie nasi w trudnych warunkach bytu, starając się potrzeby swoje zaspokoić, robili coraz to nowe wynalazki i udoskonalali je. O. G-ski.

Z gospodarstwa.

Dziesięcioro przykazań dla rolnika.

P i e r w s z e. Pamiętaj, że każda rzecz, a zatem i gospodarka twoja zaczynać się ma od początku, a więc najprzód ochraniaj i ulepszaj łąki, pastwiska i uprawę roślin pastewnych, abyś miał czem żywić i opatrywać swoją chudobę, to jest wszystkie powierzone twojej opiece żywe stworzenia.

D r u g i e. Doglądaj, dobieraj i karm dobrze tę chudobę, abyś miał z niej dobrych w twojej ciężkiej pracy pomocników i dostatek nawozu.

T r z e c i e. Pomnażaj i ulepszaj czem tylko możesz i jak umiesz ten nawóz, abyś miał czem użyźniać ziemię.

C z w a r t e. Starannie uprawiaj i użyźniaj też ziemię, abyś miał wiele zboża i obfitość cennych plonów.

P i a t e. Starannie zasiewaj i dobrze sprzątaj z pola zboża i inne plony, abyś miał czem żyć, co sprzedawać, aby za to kupować inne do życia potrzebne rzeczy.

S z ó s t e. Nigdy nie sprzedawaj wtedy, kiedy już masz nóż na gardle, to jest kiedy musisz, bo wtedy sprzedasz źle i ze swoją stratą, ale sprzedawaj umiejętnie i rozumnie, abyś miał wiele pieniędzy dla użycia na inne twoje potrzeby.

S i ó d m e. Używaj dobrze tychże pieniędzy na kupowanie rzeczy koniecznych i na same rozsądne potrzeby, abyś tak żył, jak przystoi żyć człowiekowi i gospodarzowi, który jest żywicielem i głową rodziny i domu.

Ó s m e. Uważaj pilnie na wszystko, co się tylko dobrego naokoło ciebie dzieje i naśladowuj wszystko, co jest w dziełach Boskich i ludzkich doskonałego, czyli przydatnego do dobra wszystkich; bo tylko przez to naśladowanie możesz stać się tem, do czego jesteś przez Boga Wszechmogącego przeznaczony.

D z i e w i a t e. Według swych sił ulepszaj wszystko, co tylko jest w twojej mocy i co dla dobra wszystkich ludzi przydać się może, ponieważ tylko przez to ulepszanie czyli doskonalenie dowiedziesz, że jesteś istotą stworzoną na obraz i podobieństwo Boże.

D z i e s i a t e. Prace swoje i samego siebie poświęcaj przez prowadzenie życia doskonałego, uczciwego, bogobojnego, na chwałę Bożą i dla sprawy dobra ogólnego, w którym mieści się dobro naszych bliźnich i swoje własne szczęście.

Takie to piękne rady zostawił pewien gospodarz jako pamiątkę po swoim cnotliwym życiu swym synom.

Jeżeli kto zechce je naśladować, to z pewnością nie pożałuje tego, — tem bardziej, że niema w tem nic trudnego. Potrzeba do tego tylko dwóch rzeczy: przedewszystkiem dobrej woli, ale że to nie wystarcza, gdyż bardzo często się zdarza, że pomimo najlepszych

chęci i zamiarów człowiek w pół drogi utknie i porzuca pięknie rozpoczęte dzieło, więc drugim koniecznym warunkiem powodzenia jest wytrwanie. Od tego zależy wszystko.

Te dwie znowu rzeczy, to jest dobrą radę i wytrwanie, wtedy będziemy posiadać, gdy zawsze będziemy mieć w pamięci i sercu Dziesięcioro Bożych Przykazań, których nas Święta Wiara nasza naucza i słuchoć nakazuje.

Różne rady pożyteczne.

Krew z rany mocno krwawiącej zatamuje się, jeżeli się przyłoży na ranę watę, mocno umoczoną w gorącej wodzie.

Jak się odświeża powietrze w mieszkaniu, gdzie jest chory? Mieszkanie dla oświeżenia powietrza oczyścić w ten sposób: na łopatkę żelazną, rozpaloną, nalać trochę karbolu (dostać można w każdej aptece) i powtarzać to codzień.

Jak tępić karakony (szwabry)? Robactwo to, zwane też prusakami i t. p., gnieździ się zazwyczaj w starych domach, a szczególnie w kuchniach. Tu siedzi ono za dnia w szparach w pobliżu pieca, a nocą wyłazi na żer.

Do tępienia tych owadów używają najczęściej mieszaniny, złożonej z jednej części mąki, jednej części mialkiego cukru i dwu części boraksu. Tępią je też chętnie kaczki, które zamyka się na noc w izbach, gdzie karakony przebywają. Kaczki polują na nie gorliwie. Także jeź niszczy je zawzięcie, jako też i inne owady, oraz myszy i t. d.

Starać się trzeba o to, aby wszelkie szpary i dziury były zalepione, które służą jako schronienie karakonom. Da zalepiania szpar najlepiej użyć gipsu zmieszanego z ałunem. Mieszaninę tę zarabia się z małym dodatkiem wody na gęste ciasto.

Zaprawę na podeszwy. Do konserwowania skóry, a szczególnie podeszw w obuwiu, zaleca się mydło naftowe, które się sporządza jak następuje: W jednej części wody rozpuszcza się proste mydło, osobno zaś, w innej wodzie, ałun. Skoro obie cieczki ochłodną, zlewa się je razem wśród ciągłego mieszania.

Powstanie skutkiem tego osad. Z osadu tego należy płyn odlać, następnie czystą wodą go wypłukać i w miernej ciepłocie wysuszyć. Jeżeli proszku tego dodamy w stosunku

30 gramów do 100 gramów nafty, to uzyskamy rodzaj mydła naftowego, t. j. podobną do wazeliny masę tłuszczową, która nadaje się wybornie do smarowania skóry podeszwowej. Przepojone nią podeszwy trwają bardzo długo i nie przepuszczają wilgoci.

To i owo.

Amerykański ogrodnik-czarodziej.

Ogrodnicy w hodowli nowych gatunków roślin znają dwa sposoby: albo dobierają silne i wyróżniające się czemkolwiek dziczki i hodują je w specjalny sposób, albo łączą ze sobą różne uszlachetnione w powyższy sposób dziczki przez opylanie kwiatów jednych pyłkiem z kwiatów drugich.

Otrzymanie nowego gatunku nie należy do rzeczy łatwych. Wymaga ono wielokrotnych prób, wielkiej cierpliwości. W Ameryce mieszka uczonego ogrodnik, Berbank, który wyhodował aż 2500 nowych gatunków roślin, ale też poświęcił temu całe życie ciężkiej pracy pod hasłem: »Cierpliwość i doświadczenie«. Amerykanie nazywają go »czarodziejem świata roślinnego«.

Tak na przykład Berbank wyhodował nowy gatunek śliwki, której owoce dosięgają rozmiarów jabłka średniej wielkości, a co najdziwniejsze, mają pestki, pozbawione twardej skorupy: ziarnko tkwi wprost w miękkim owocu. Ponieważ nadto gatunek ten daje o wiele więcej owoców, niż inne, staje się on coraz chętniej hodowanym w Ameryce. Podobnie udało się Berbankowi otrzymać orzechy włoskie bez skorupy, okryte tylko cienką i miękką skórką.

Podziw budzą jego jeżyny o wielkich jagodach — białych i bez ziarenek.

Przedziwne odmiany róż, cenione po 4000 koron za krzak, należą też do dzieł »czarodzieja«. Między niemi wyróżnia się róża... niebieska.

Z kaktusów, jadowitych roślin południowo-amerykańskich, pokrytych ostrymi kolcami i całkiem nieużytecznych, Berbank wyhodował zupełnie nowy gatunek, pozbawiony jadu i kolców, soczysty i bardzo smaczny, jako owoc. Podobno kaktusy te znakomicie nadają się do pędzenia spirytusu, dając go znacznie więcej, niż dotąd używane w tym celu rośliny.

Berbank nie tylko udoskonala istniejące, ale i tworzy całkiem nowe rośliny. Z połączenia pewnego gatunku malin z pewnym gatunkiem jeżyn udało się mu otrzymać nowe, wielkie i smaczne jagody, nazwane przezeń »primusberry«. Albo znowu wytworzył on drzewo, rodzące owoce podobne do moreli, ale o smaku śliwek.

Jak niezwykle pomysły miewa Berbank, świadczy fakt następujący: zaszczepił on na kartoflach pomidory. W rezultacie powstały rośliny, które rodzą pod ziemią kartofle, a w górze pomidory.

Kobieta chińska.

W Chinach mąż ma prawo bić żonę pod warunkiem, że nie porani jej do krwi. Gdyby żona poskarżyła się przed sądem, otrzymałaby sto jeszcze różek.

Panie chińskie nie chcą jednak dłużej znosić tego przywileju mężczyzn i wystosowały do prezydenta chińskiej republiki Juan-szikaja memoriał, żądający przynajmniej równouprawnienia. Zresztą trzeba pamiętać, że stanowisko kobiety w Chinach nie jest wcale poniżające, a kobieta-matka jest otoczona najwyższym szacunkiem — i ona jest panią domu.

Zaręczyny w powietrzu.

Z pewnym lotnikiem amerykańskim wszedł do samolotu bogata panna Zuzanna Wharton. Gdy już byli wysoko ponad ziemią i przelatywali nad rzeką św. Wawrzyńca, ów lotnik oświadczył się swej towarzysze, prosząc o jej rękę. Panna oświadczyły przyjęła. Przynęła zostać jego żoną, ale pod warunkiem, że towarzyszyć mu będzie we wszystkich jego powietrznych podróżach.

Fatalny los loteryjny.

Przez długie lata grał pewien posługacz kolejowy w Pankow pod Berlinem na pruskiej loteryi państwowej, kupując ćwiartkę losu zawsze na ten sam numer. Ponieważ los jego nigdy dotychczas nie wyszedł, zażartował wobec żony, że zapewne losu z takim numerem wogóle niema. Kobieta wzięła żart na seryo i bez wiedzy męża wymieniła los na inny.

Niezadługo przecież pierwszy los padł na sumę 20.000 marek. Gdy oznajmił radosną

nowinę żonie, kobieta zemdląła i przyszedłszy do siebie, wpadła w melancholię, następnie opuściła mieszkanie i więcej nie wróciła. Rodzina jej obawia się, że rzuciła się do wody.

Jak długo żyją drzewa.

Jeden z wybitnych leśników niemieckich pisze w jednym czasopiśmie, że opowiadania o tysiącletnich drzewach nie mają podstawy. W żadnym bowiem wypadku nie stwierdzono z całą pewnością, aby jakieś drzewo dożyło więcej niż 800 lat. Drzewa zaś, które doszły do tego wieku, wegetują tylko i są wewnątrz spróchniałe.

W pełnym zdrowiu dochodzą drzewa i to jedynie zylaste tylko do 500 lat, a mianowicie świerki w Szwecyi i Finlandyi. Następnie najdłużej żyjącymi drzewami są jodły, w których stwierdzono przez obliczenie słojuów wiek 430 lat. Modrzew osiąga 275 lat. Z drzew liściastych najdłużej żyje — jak powszechnie wiadomo — dąb, który żyje do 400 lat, a buk i 250 lat.

Jesion dochodzi do 170 lat, brzoza 160, olcha 150, klon 250. Najdłużej jednak żyją a raczej wegetują lipy. Lipa w Neustadt w Wirtembergii liczy co najmniej 790 lat i chociaż pień jej wewnątrz jest spróchniały i wypełniony murem z cegieł, co roku okrywa się nowymi liśćmi.

Zarty.

Rabuś moralista.

— To pan się będziesz po nocy włóczył, a tam żona pańska i dzieci same w domu siedzą?... Dawaj pan tu zaraz zegarek i pieniądze!...

Ma racyę.

Wojciech podchmielił sobie, wraca do domu — spadła mu czapka.

— Babo, podnieś copkę!

— Kiejs się upił, podnieś som!

— Mos racyjom... potem będziesz musiała podnieść i mnie i copkę.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Ks. Marceł Dziurzyński.

Drukarnia »Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra«
pod zarządkiem Jana Suchanka w Cieszynie.